



FORUM DYSKUSYJNE

Drzazgi w mózgu

Zenon Łukaszewicz

Zadziwiająca, chociaż zrozumiała i symptomatyczna jest ta wymiana poglądów dwóch zielonogórskich autorów w ciekawie pomyślanym „Forum dyskusyjnym”. Oto bowiem przeciętny poeta i niezły regionalista Eugeniusz Kurzawa „łka nad rozlanym mlekiem”, broniąc heroicznie „Własności czasu przeszłego” a jego adwersarz, poeta, prozaik, krytyk literacki i dziennikarz w jednej osobie Czesław Markiewicz z temperamentem polemicznym „nokautuje” Kurzawę, mając niestety więcej słuszności aniżeli atakowany. Chociaż obaj są jakby z siebie niezadowoleni, bo „uczelnię skończyłem raczej taką sobie, przynaję” – to Kurzawa o zielonogórskiej WSP, a Czesław Mar-

kiewicz: „urodziłem się i zostałem w Zielonej Górze, co było i jest dla mnie bardziej klęską, niż awansem”. Czyżby autorowi chodziło o to, że na jej piaszczystej glebie nie znalazł żadnego Waśkiewicza? Niemniej, zły to ptak, który własne gniazdo kala...

A tak na marginesie: kto panów nakłaniał do pozostania w Zielonej Górze? Nawet Kurzawa, po wędrownkach wschodnimi rubieżami kraju, powrócił do miasta swojej młodości. A stąd już niedaleko do bliskiego mu Zbąszynia. Uznają zatem, że jest w Zielonej Górze klimat mocno mieszany – odpychający i przyciągający. Myślę oczywiście o klimacie kulturowym, artystycznym. Aczkolwiek przypadki An-

drzeja Waškiewicza czy Zygmunta Trziszki, którzy wyjechali stąd na stałe, mogą przeczyć tej tezie. Andrzej jednak usadowił się mocno na Wybrzeżu, a nieżyjący już Trziszka nigdzie nie mógł znaleźć sobie miejsca, choć patronował mu Henryk Bereza, oczywiście w sferze eksperymentów językowych. Kto wie jednak, jak potoczyłyby się ich dalsze losy, gdyby poza monopolistycznym Lubuskim Towarzystwem Kultury działały wówczas inne stowarzyszenia i oficyny wydawnicze?

Chociaż obaj autorzy starają się wyraźnie oddzielić porządek polityczny, społeczny i kulturowy od własnych biografii, to jednak jest to niemożliwe. Każdy ma prawo do suwerennych decyzji, ale „wolność jest to uświadomienie konieczności”, tedy nie można pozbyć się kontekstów społeczno-biograficznych. I uwarunkowań i ograniczeń. Zapamiętane gorzkie doświadczenia tkwią w nas jak drzazgi w mózgu.

We wczesnych latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku, gdy witali się ze światem obaj polemisci, nie wiedząc, iż jest to świat spętany stalinizmem, ja byłem na poznańskiej polonistyce. Pamiętam: na seminarium polskiej literatury współczesnej była omawiana twórczość Broniewskiego. Referentem był jeden z twardogłowych marksistów, ja przygotowałem koreferat. On mówił wyłącznie o rewolucyjnych wymowach wierszy poety, ja przygotowałem tekst o bardzo osobistej lirycy Broniewskiego. Ledwo zacząłem go wygłaszać, prowadząca seminarium dr Pańczykówna przerwała mi i kazała opuścić salę. Nie, żeby ten mój głos zabrzmiał fałszywie, ale dlatego, iż rzekomo chciałem pomniejszyć rolę poety-rewolucjonisty, zwłaszcza ze strony tych, którym zależało na stypendium.

A potem była moja debiutancka recenzja z powieści „Jan bez ziemi” Jackiewicza, opublikowana w jezuickim „Przeglądzie Powszechnym”. I znów zostałem „czarną owcą”.

A potem była przyjaźń z Kazimierzem Kummerem, autorem wydanej pośmiertnie powieści „Klatka” o krwawej niedzieli bydgoskiej, człowiekiem o własnej wrażliwości artystycznej i społecznej, który ośmielił się rzucić publicznie legitymację ZMP na jakimś zebraniu, towarzyszenie Kisielowi na zjeździe polonistów. Itd., itp. Była to duszna indoktrynacja w toksycznym klimacie środowiskowego ostracyzmu.

Czy dzisiaj tamten czas nie jawi się jak koszmarny sen? Dla mnie. A dla generacji Kurzawy i Markiewicza jest wprost niezrozumiały. To nie jest ich świat.

Później ziścił się sen o wolności. Ale przecież nie do końca pełnej, nie do końca zachwycającej. Po latach zamieszkałem w Zielonej Górze. To była jeszcze PRL, ale już w złagodzonej formie. Zaczęło się organizować tzw. środowisko literackie, w pierw jako sekcja literacka przy LTK, potem jako klub literacki. Ale przecież ambicje kilku piszących były daleko wyższe. To nic, że dorobek literacki mieli nieznaczny, o bardzo słabym poziomie artystycznym. Przecież chodziło o prestiż i wzniosłe miano literata. Rozpoczęto starania o utworzenie samodzielnego oddziału Związku Literatów Polskich w Zielonej Górze. Inicjatywę tę podchwyciła władza centralna, bo przecież należało pokazać ziomkostwom niemieckim, że Ziemia Lubuska jest piękna, gospodarna i kulturalna. Zostały złamane wymogi statutowe ZLP ponieważ tylko 2 osoby z 6 członków-założycieli były autorami dwóch książek literackich. I tak oto w 1961 roku dokonała się w Zielonej Górze wielka mistyfikacja. Członkami ZLP zostali publicyści, bajkopisarze i zasłużeni działacze partyjno-społeczni. Kilka osób rozdawało sobie wzajemnie stypendia, organizowało spotkania literackie i obsadzało różne etaty w różnych organizacjach społecznych. Dopiero w latach następnych do Janusza Koniusza dołączyli Zbigniew Ryndak, Irena Dowgielewicz czy Andrzej Waškiewicz i Zygmunt Trziszka. Nie dbam

tutaj o pedanterię chronologiczną, wskazując na pewne zjawisko z pogranicza polityki i sztuki.

Jeśli ktoś mniema, że rozreklamowani członkowie ZLP zyskali sobie czytelników, jest w błędzie. Stwarzano jednak zręcznie pozory społecznie użytecznej działalności. Na seminarium polonistycznym w dawnej WSP o dorobku literackim tzw. miejscowych pisarzy nikt nie słyszał, biblioteka w Gubinie na moją prośbę sporządziła wykaz rocznych wypożyczeń książek lubuskich pisarzy – wyszło zero. A do wiejskich klubów na spotkanie z pisarzami przychodzili ludzie, zwabieni afiszami, że przybędzie agronom lub zootechnik. To zapewne pamięta Andrzej Waśkiewicz, który przeżył taką przygodę.

Takie były „wesole” czasy, gdy fryzowano rzeczywistość, upiększano ją w stylu trawy przed zakładami pracy na przyjazd Gierka. Czy więc można się dziwić, że co ambitniejsi autorzy wyjeżdżali z naszego miasta do innych większych ośrodków, gdzie można było w towarzystwie pisarzy z renomą podyskutować o literaturze, a nie tylko o tym, gdzie jest intratna fucha i ile na niej można zarobić. To przecież tutaj kwitło „piękne” cwaniactwo, a za pieniądze LTK można było wydać np. we Wrocławiu nie tylko debiutancki tomik wierszy, ale zafundować sobie opublikowanie innych książek np. w Wydawnictwie Poznańskim. Wspomina o tym mimochodem Andrzej Waśkiewicz w jak dotąd jedynie solidnie opracowanym informatorze „Lubuskie Środowisko Literackie” (LTK 1970 r.). Nie muszę dodawać, że również w Zielonej Górze nie osiadł żaden wybitny twórca.

Autorzy tych polityczno-literackich potyczek skupili swoją uwagę na latach późniejszych. Przyznam, że mało mnie obchodzą spory wokół Nowej Prywatności czy Nowej Fali i tutaj zgadzam się z Markiewiczem, który konstatuje: „Oceniając te twórczości w ogóle mnie nie obchodzi cała hucpa rozrachunkowa”. Podobnie jak on kiepski wiersz odkładam na półkę. Dzisiaj, po doświadczeniach lat 50. i późniejszych, nie dziwię się też, że Kurzawa jest dziś prezesem oddziału ZLP, a jeszcze tak niedawno gościł w rezydencji Urbana, opisując to w gazetowej relacji. Tak, jak nie dziwi mnie i to, że nazwisko Waśkiewicza figuruje w stopce Aneksu – dodatku do lewicowej „Trybuny”.

Aby jednak nie być posądzonym o ponuractwo obrachunkowe z minionymi latami dodam, że przeczytałem w moim długim życiu wiele interesujących powieści i zbiorów opowiadań polskich pisarzy z lat powojennych, a wśród nich piękne teksty Ireny Dowgielewicz i dziś niesłusznie zapomnianego Wojciecha Czerniawskiego ze Szprotawy. To przecież autorzy z Ziemi Lubuskiej.

Ma rację Czesław Markiewicz, że należy się otrząsnąć z nadmiernej opiekuńczości państwa nad twórcami, bo dziś nie te czasy i nie te zapotrzebowania. Ale ma przecież rację także Kurzawa, że każdy monopol idei i ideologii przynosi kulturze więcej strat niż pożytku. Każdy totalitaryzm jest groźny, bez względu jaką ma barwę.

Ps. Tytuł tego tekstu jest lekkim sparafrazowaniem Kisiela „Gwoździe w mózgu”. Choć sens jest chyba podobny?

